



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na pro-  
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

## POGA WĘDKA.

Gdziekolwiek się obrócić, wszędzie słyhać o wystawie paryzkiej, o wieży Ejjfela z żelaza i drugiej z brylantów, pereł i rubinów, którą jakiś jubiler na wysokość jednego metra zbudował; o drożynach, o robieniu *queue* i wystawianiu po kilka godzin u wejścia do teatrów, cyrków, restauracyi, o przygodach w drodze, ciasnocie w wagonach, ciżbie passażerów, ściągających ze wszystkich stron świata—wystawa i wystawa, Paryż i Paryż, wieża Eiffla i wieża Eiffla!

Zdawałoby się, że Warszawa—mało powie-  
dzieć, Europa cała, świat cały dzieli się dzisiaj tylko na aniołów, którzy byli na wystawie, i na zwykłych śmiertelników, którzy nie byli na wystawie paryzkiej.

Rozumie się, że po wszystkich ważnych wypadkach, ma się zwykle na bardzo długo jeden i ten-  
sam temat do rozmowy.

Któryś z moich dowcipnych kolegów felietonistów zrobił raz uwagę, iż po potopie najprawdopodobniej o niczem innym nie mówiono, jak o czterdziestodniowej słoicie, ulewnych deszczach, tęczy i szczegółach wiekopomnej katastrofy, która po całych lat tysiącach nie przestała być wypadkiem godnym dyskusyi.

Wystawa paryzka nie ma ważności takiego faktu, jak potop, ale dla tych, którzy ją zwiedzali, jest w każdym razie czemś pamiętnem na całe życie, więc dziwić się niepodobna, że za powrotem mówią tak dużo i tak chętnie o najsilniejszym wrażeniu, jakie z sobą do domu przywieźli.

Z powodu przyznania nagród niektórym firmom polskim, odzywają się teraz głosy wyrzutu, że

przemysł nasz nie skorzystał liczniej i pokaźniej ze sposobności zmierzenia się na tym wielkim międzynarodowym turnieju; że można było zdobyć jeszcze więcej dowodów uznania i wyróżnienia.

Na to odpowiadają inni:

— No i co z tego?... dali medal, dali list pochwalny, dali dyplom uznania, ale ten zaszczyt trzeba było drogo opłacić. Praktycznie nie na wiele się to przyda. Stosunków handlowych, drogi zbytu wobec miejscowej konkurencyi zagranicą nie zdobędzie się tak łatwo, nawet z dziesięcioma medalami na premiowanych okazach. Nawet koszta wysyłki się nie wróca.

— Mniejsza o zagranicę — przerywają optymiści—ale tu u nas, w kraju, dla naszych stosunków takie odznaczenie na wszechświatowej wystawie ma duże znaczenie, zwłaszcza wobec naszej wiary w przewagę wszystkiego, co zagraniczne. Każdy talent nabiera dla nas smaku i mocy, niby porter przewieziony przez morze, gdy wśród obcych zdobędzie trochę blasku. Wszystko jedno, czy to aktorka oklaskiwana w Berlinie lub w San Francisco; czy malarz, którego obrazów na naszych wystawach przyjmować nie chcieli, a honorami obsypano u innych; czy śpiewak, na którego głosie dopiero się Europa poznała; czy choćby autor, zapoznawany póty, dopóki pisał popolsku, a sławiony, gdy wydrukował swój artykuł w obcym języku. Zagraniczna plomba, to talizman zarówno dla talentu, jak dla dzieła, to patent dla wyrobów przemysłu i rękodzielnictwa. Uznanie obcych przekonywa nas więcej i prędzej, niż najbardziej uroczyście zapewnienia naszych krytyków i rzeczoznawców, nawet niż nasze własne oczy i nasze własne zdania.

Jest w tem niewątpliwie dużo słuszności i zaprzeczyć się nie da, że najważniejszym pożytkiem z takich wystawowych sukcesów, jest przede-  
wszystkiem reklama, zwracająca uwagę na odznaczone firmy i ich wyroby.

Najmniejszy medalik, zdobyty zagranicą, w Europie, dodaje splendoru, pociąga oczy i błyszczy potem na szyldzie, jak order na piersiach żołnierza, wracającego z kampanii.

Niestety, nam trudno bywa poznać się na tem, co swoje; potrzebujemy, aby nam obcy często dopiero palcem wskazywali to, co naprawdę dobrego u siebie mamy.

Przedewszystkiem mamy tak mało zaufania we własne siły; w bardzo wielu wypadkach ten sceptycyzm ma swoje uzasadnienie, ale często też bywa niedocenieniem ludzi i rzeczy, sił i środków, chęci i możliwości.

Oto przypominam sobie np. kiedy przed kilku laty byłem na pierwszej wystawie rolniczo-przemysłowej w Wilnie, musiałem się nasłuchać rozmaitych pesymistycznych przepowiedni, wszelkich wątpliwości co do powodzenia, celu, praktyczności takich wystaw.

— Co to warte, do czego to prowadzi, co komu z tego przyjdzie?... co my tu pokażemy sobie?... w tym roku to jeszcze tym usilnym staraniami komitetu, który *à tout prix* chciał mieć wystawę, udało się zebrać trochę inwentarza i okazów włościańskiego przemysłu, ale na przyszły rok nikt nic nie przysła—zobaczycie!

— Czem się tu chwalić!... na co aż wystawy, kiedy my sami dobrze wiemy, czego u kogo szukać i co kto posiada.

Tymczasem wbrew pesymistom w tym miesiącu czwarta z rzędu wystawa się udała i według zdania wszystkich korespondentów wykazała postęp pod każdym względem.

Pomimo deszczu, słoty, nieprzychylnych warunków, zjechało się okolicznego obywatelstwa sporo, nadesłano wiele ciekawych okazów, zrobiono dużo korzystnych tranzakcyi i nie zmarnowano sposobności pokazania się i zareklamowania dla pożytku interesów rolniczo-przemysłowych całej prowincyi.

Od wczoraj mamy znów w Warszawie pierwszy, dziesięciodniowy targ chmielarski, co do wartości, znaczenia i skutków którego krążyły również zdania bardzo podzielne i wcale niezachęcające.

— Co to warto! — mówiono z tym charakterystycznym uśmiechem niedowierzania i ironii, — co nam z jarmarku przyjdzie!... dla tej odrobiny chmielu, który się w kraju uprawia, nie warto zadawać sobie tyle zachodu i robić tyle krzyku! Zobaczycie, że to się nie uda.

— Zobaczmy.

Tegoroczne warunki, jak na początek, nie są wprawdzie pomyslnie dla sprawy chmielarskiej propagandy; w Czechach i w Bawaryi chmiel podobno świetnie się udał, u nas jest go mniej, nie w najlepszym gatunku, nie w ilości na wielką dostawę; jarmark przeto może w istocie zawieść oczekiwania, ale może się też i udać, choć w ograniczonych rozmiarach.

Kruki wszelako złowróźbne z góry przesądają sprawę i nie przepowiadają nic dobrego.

Chodzi przecież o zrobienie początku, nie o rezultat jednoroczny, ale o zabezpieczenie sobie rynku na przyszłość, o zawiązanie stosunków handlowych, o zachętę dla plantatorów i otwarcie nowego źródła dochodu temu biednemu rolnikowi, który próbowałby z piasku cukier robić, a ze śmieci spirytus, aby choć trochę więcej zysków zapewnić sobie z ziemi.

Z nastaniem jesieni, która zbyt wczesnym chłodem nas uraczyła, jakby srogą zapowiedzią tego, czego się po zimie spodziewać mamy, odezwały się zaraz utyskiwania i biadania, powyłaziły rozmaite kwestye i projekta natury filantropijno-społeczno-ekonomicznej.

Z tych wszystkich pomysłów i prób zaradzenia swojej i cudzej biedzie najwięcej podobał mi się na razie projekt krawieckiej czeladzi, przedstawiony panom starszym cechu; zapragnęli oni własnego przytułku dla zubożałych majstrów i czeladników, przytułku we własnym domu pod własnym dachem, za własne fundusze wystawionym, bez uciekania się do czyjejkolwiek pomocy.

Obliczono, że w Warszawie pracuje około 500 krawców, którzy mogą złożyć miesięcznie mniej więcej 1.000 rs. ofiarowując jedynie po 10 kop. od sztuki uszytej swojemi rękoma.

W ciągu roku zatem uzbierałyby się w ten sposób kapitał wcale znaczny, bo wynoszący 12.000 rs.; możnaby i plac nabyć, i dom zacząć stawiać, tem bardziej, iż cech krawiecki posiada swoją własną kamienicę przy Krakowskim-Przedmieściu, nieobciążoną dotąd żadnym długiem hipotecznym.

Panowie czeladnicy proponują tedy zaciągnięcie pożyczki w kwocie 5.000 rs., którąby zaraz w pierwszym roku z dobrowolnych składek umorzono, i rozpoczęcie budowy własnego przytułku.

Wszystko to wydaje się bardzo łatwem i bardzo możliwem w teorii; ale panowie starsi, jako przezorniejsi, postanowili w pierw wypróbować ofiarności i solidarności wszystkich członków cechu, rozdali majstrom książeczki i uprosili ich o ściąganie owych drobnych datków od czeladzi, która jednak przecięciowo musiałaby po 2 rs. miesięcznie oddawać ze swych zarobków na ów składkowy fundusz, aby obliczenia wnioskodawców nie zawiodły.

Dwa ruble, to niby niewiele, ale dla biednego krawca, ciężko pracującego igłą po całych dniach i nocach, to ofiara duża, na którą najchętniejszym nie łatwo będzie się zdobyć.

Swoją drogą sama myśl utworzenia takiego cechowego przytułku zasługuje na wszelkie uznanie i poparcie; rozszerzona i zastosowana do innych korporacji mogłaby zaradzić ciężkiemu brakowi, który daje się we znaki klasom pracującym a, niestety, z mało przezornym i dbałym o swą przyszłość.

Jakże często zdarza się spotykać starych, zubożałych rzemieślników, wyciągających rękę po jałmużnę, lub pukających do wrót Dobroczynności...

Za przykładem krawców mogliby pójść i szewcy, i stolarze, i ślusarze, i inne cechy; mogłyby powstać domy przytułku, utrzymywane przez

ogół rzemieślników, należących do jednego zawodu.

Czego nie dałoby się zrobić funduszami jednego cechu, to wspólne siły i środki dźwignęłyby zbiorowo.

Ale do takich przedsięwzięć potrzeba najpierw dobrego zrozumienia swych własnych interesów, potrzeba solidarności i pewnej ofiary: a o to w naszym społeczeństwie przecież tak trudno, nawet w warstwach najbardziej oświeconych i górujących.

Przypuszczam, że krawcom uda się doprowadzić do skutku projekt czeladzi, ale już o szewcach pozwalam sobie wątpić.

Sławetni przedstawiciele kunsztu szewskiego w ostatnich czasach dają gorszący przykład w swojej gospodarce cechowej, spierają się, kłócą, robią sobie naprzekór i psują harmonię, jaka powinna zachodzić między ogółem a starszymi.

Potworzyły się tam antagonizmy, zachwaciły stosunki, rozdrażniły stronnictwa: gdzie w takich warunkach myśleć o jakiegokolwiek solidarności i zgodności działania!

Rodzajem przytułku, a właściwie sal zarobkowych, będą tak zwane „Warsztaty Staszycy“, które niebawem otwarte być mają za rogatkami wolskimi tytułem próby na trzy lata; odpowiednie pomieszczenie dla nich już przygotowano i urządzono. Od powodzenia zależeć będzie dalszy byt tej instytutnicy, dającej pracę i zarobek ubogim rzemieślnikom.

Jest to najlepszy środek pomocy niedemoralizującej, pomocy własnymi siłami. Pragnąć-by należało, aby wszystkie nasze instytucje filantropijne o ile możności opierały się na takiej rozumnej zasadzie.

Niejednokrotnie miałem sposobność wspominać na tem miejscu o szwalniach założonych przy Towarzystwie Dobroczynności, które to zakłady właśnie powstały z takiego pojmowania filantropii i w praktyce okazały swój prawdziwy pożytek; w przyszłym miesiącu ma być poświęconym i otwartym osobny budynek przy ulicy Starej nieopodal gmachów poddominikańskich, w którymto budynku — można powiedzieć: wspaniałym, jak na środki z których powstał i ze względu na swoje przeznaczenie — znajdzie odtąd *locum* pierwsza szwalnia, założona przed dziewięćciu, czy dziesięćciu laty.

Okazały dom trzypiętrowy z ogródkiem, z przepysznym widokiem na Wisłę i szeroki poza nią horyzont, da pomieszczenia dla pięćset ubogich dziewcząt, które tu będą mogły pod okiem Sióstr Miłosierdzia i specjalnych nauczycielek kształcić się na szwaczki, hafciarki, cerowaczki i uczyć się pracy na kawałek chleba, uczciwie w życiu zdobywamy.

Ale kto by myślał, że takiemu filantropijnemu dziełu, którem komitet szwalni prawdziwie pochłubić się może, stanie w drodze... kanalizacya!

A jednak stanęła; nowy gmach odpowiednio do dzisiejszych warunków budownictwa urządzonej został z tą najważniejszą wygodą pod względem czystości i higieny. Zkanalizowano go, jak przystało, lecz tu wytworzyła się właśnie z tego powodu trudność oddania budynku na właściwy użytek, gdyż w okolicy ulicy Starej nie można jeszcze przeprowadzić połączenia przykanalików z głównymi odpływami ku Wisłę i dopóki „dom pierwszej szwalni“ nie znajdzie sposobu przyczepienia się do sieci miejskich ścieków, dopóty nie może być zamieszkanym.

Pan Lindley nie przypuszczał, że wielka kwestya kanalizacyi zahaczy o kwestyę filantropijną i stanie w kolidyzi nawet z kwestyą... szwaczek warszawskich.

Kanalizacya nie przestaje być u nas najważniejszą sprawą brukową, o którą potykają się nieustannie nogi przechodniów i pióra felietonistów i reporterów.

Najwygodniejszy sposób chodzenia po Warszawie wynalazł dla siebie p. Blondin, który w Niedziele i Poniedziałek dawał tysięcznym tłumom na Placu Ujazdowskim lekcya pogładową tej umiejętności obywania się bez porytego bruku i nienarazania się na wywichnięcie nóg.

Sposób to o tyle prosty, o ile natomiast karkołomny; p. Blondin zamiast po ziemi, chodzi po li-

nie na wysokości trzeciego piętra wyciągniętej, spaceruje zaś z taką pewnością tam i napowrót, w worku, z zawiązanymi oczyma, z puginałami u nóg i t. d., jakgdyby się urodził wróblem i całe życie spędził na drutach telegraficznych.

Słynny linochód ma jeszcze i tę oryginalność, iż daje widowiska napowietrzne za „co łaska“, nie sprzedaje bilêtów wstępu, kontentuje się datkami, które publiczność składa w skarbonki obnoszone przez posłańców na placu, zaś jako polyglota używa polskiego języka podczas swoich ryzykownych produkcji.

Po panu Leroux, człowieku latającym, mieliśmy tedy drugą sensacyą w osobie p. Blondin'a, dwunożnego pająka rodzaju ludzkiego...

Z innych wrażeń, jakich nam ubiegłe dwa tygodnie dostarczyły, winienem zanotować wyciągi cyklistów na Polu Mokotowskim, w których niestety, triumfatorami byli w znacznej części zawodnicy zamiejscowi, z Łodzi i ze Zgierza — dalej wiadomość o blizkiej wizycie Lapończyków i Kałmyków, wybierających się na zimę do Warszawy, by zatrzeć ślady Aszantjów, Dahomejczyków i Syngalezów; wreszcie otwarcie nowego teatryku, w którym pokazują „żywe obrazy“, pantominy i sztuki magiczne.

Wspomniałem o tym przybytku niemej muzy pod dachem dawnego Eldorada, który dla swoich produkcji nie mógł dotąd znaleźć swojskiego wyrażenia i ochrzcił je z francuzka: *Féeries*.

Proponowana firma nowej sceny: „Dziwadła“, okazała się niestosowną i niezostała przyjęta.

Pomysł urządzenia u nas takiego teatryku, na wzór zagranicy, był dobry, chodziło tylko o wykonanie, a do wykonania potrzeba było ręki sprężystej, doświadczonej, zręcznej i zasobnej w pieniądze.

Głównym efektem takich widowisk musi być przede wszystkim olśniewająca wystawa, bogate kostiumy, dekoracye, akcesorya, cały aparat, zasługujący prawdziwie na nazwę „czarodziejskiego“.

Bez tych optycznych środków i pięknego złudzenia cel musi być chybiony, a teatryk zrówna się z budą jarmarczną.

Urządzenie zatem wymaga kosztów, częstej zmiany repertoaru, pomysłowości w jego układaniu, wywiczonych sił mimicznych, dużo fantazyi i bardzo dużo smaku.

Nie wiem, kto się tęp u nas zajmuje, ale przypuszczam, że ktoś, co z motyką nie chciałby się porwać na słońce i zdaje sobie sprawę ze swego zadania i z celu takiego przedsięwzięcia.

Pierwsze przedstawienia prasa przyjęła życzliwie i odezwała się o nich zachęcająco, domagając się tylko bogatszej i efektowniejszej wystawy.

Przy finansowem powodzeniu dyrekcya „czarodziejskiej“ sceny znajdzie zapewne środki do zadostyc uczynienia tym warunkom *sine qua non* swojego bytu.

Do dziedziny przyjemnej rozrywki należy zapowiedziane wydawnictwo, którego podjął się znany literat i dziennikarz p. Michał Wołowski, redaktor rozpoczętej „Encyklopedyi humoru“. W prospekcie rozrzuconym ogromnemi garściami wydawca tak się tłómaczy ze swoich intencji:

„Literatura świata, od dziewiczego stanu swojego aż do okresu najwyższego rozkwitu, odbijała zawsze duszę ludzką, jej uniesienia i rozpacz, jej zwycięstwa i klęski.

„W ostatnich wszakże epokach zapanowała na literackich obrazach życia barwa smutku i melancholii. Jest to literatura pesymizmu, która rozstraja i sprowadza apatyę, żywiona codziennymi rozdźwiękami społecznymi.

„Jakkolwiek wysoko pod względem sztuki stanęła ta literatura, nie może być jednak pokarmem jedynym ogółu, o oczy zmęczone mgłami i burzami szukają słońca i pogody.

„Horyzonty takie otwiera humorystyka...“  
Mamy tedy zapowiedziany zwrot ku optymizmowi w wydawnictwie p. Wołowskiego i cel jasno wytknięty; mamy znaleźć w Encyklopedyi źródło pogodniejszego śmiechu i „poezyą wesołości“, co pozwala nam wnioskować, że wydawnictwo to

będzie „Encyklopedyą dobrego, nie złego humoru“, który w ostatnich czasach owiele więcej stworzył śmiesznych rzeczy, aniżeli dawniejsi satyrycy, jowialści, anegdociarze i t. p.

Tylko że te plody „złego humoru“, rozrzucone we wszystkich niemal dziedzinach literatury, a zwłaszcza prassy naszej, zgryźliwe, żółciowe, chorobliwe uśmiechy wywoływać jedynie mogą i nie bardzo zdrowo jest karmić się niemi.

„Encyklopedia“ zaś pana Wołowskiego, zebrawszy w sobie „najcenniejsze pamiątki humoru ludzkiego wszystkich czasów i wszystkich narodów“, ma być dobrą, wesołą i nie szkodliwą towarzyszką czytelników i amatorów wesołego dowcipu i serdecznego śmiechu.

Niebawem się o tem przekonamy.

Quis.

## SĄSIEDZI

### OBRAZEK WSPÓŁCZESNY

napisała

Zbigniewa Zmorska.

(Dokończenie)

— Zaprześtań tych żartów, Alexandrze!—mówi, biorąc ze stołu filiżankę z herbatą i mieszając ją złotą łyżeczką. Nawet jako żart, brzmi to źle i nie lubię takiego dowcipkowania. Eugenia wie zresztą, co nas dzieli z tymi ludźmi.

Lekki rumieniec oblewa twarz hrabianki; cofnąwszy się od okna, siada znów na tureckiej otomanie.

— Bądź spokojnym, ojciec — odpowiada chłodno i stanowczo. — Pamiętam o tem, że pomiedzy nami a tym białym dworkiem leży przepaść, której nie przejdzie żadne z nas, a tem mniej, zdaje się, tancil..

Po tej wyniosłej odpowiedzi, wymówionej głosem zimnym, bezdźwięcznym, w salonie zalega znów cisza. Hrabia z Alexandrem powracają do mapy, Eugenia zwolna pije herbatę.

Tylko młodszy syn pozostaje na dawnym miejscu obserwacji.

Oparty o rzeźbioną futrynę okna, patrzy niepokojnie w dół, gdzie wśród białych koszul zniżają się wyraźnie kręcąc się wyniosłą postać pana Michała, jasne ubiory dwóch młodych paniczów i słonkowy kapeluszy Maryi.

Twarz chłopaka wyraża silną wewnętrzną walkę.

Młode czoło powlokło się ciężką chmurą, ściągnęło w grube bruzdy, błękitne oczy przesłania mgła smutku, usta drgają hamowaniem wzruszeniem.

Przez chwilę zdaje się wieść z tem wzruszeniem bój zacięty; aż naraz, gwałtownym ruchem odwraca się od okna, stając wprost twarzą w twarz z ojcem.

— Ojciec, — zaczyna głosem przytłumionym, ale z wyrazem silnego wzruszenia — ojciec, dla czego nie dopomożesz tym biednym uciśnionym ludziom?

Hrabia podnosi od papierów poważne, zdziwione oczy.

— Cóż znowu? I ty, Władysławie, już zaczynasz zwracać się tam z sympatjami twemi? — mówi zwolna, poważnie, a z niezadowolaniem. Lice chłopaka oblewa aż po czoło gorący rumieniec.

— Ojciec — mówi żywo—Eugenia powiedziała prawdę przed chwilą, że jest rzeczą straszną czuć się systematycznie gnębiącym, duszonym; a ja powiadam, że straszniejsze to jeszcze uczucie patrzeć na taką męczarnią ludzką z wysokości, nie mogąc wyciągnąć ręki ku obronie

uciśnionych! Ojciec, tyś bogaty, tyś możny, silny... dopomóż im!..

— Jakim sposobem?—pyta hrabia chłodno.

— Chciej tylko, a znajdziesz sto środków ku wydzwignięciu ich z niedoli.

— Z których oni nie przyjmą żadnego.

— Przyjmą, jeśli będziesz umiał je podać. Twarz chłopaka płomienieje, oczy, jak dwie gwiazdy, zapalają się, usta drżą uczuciem. Składa ręce i patrzy oko w oko w poważne źrenice ojca—Trzeba je podać sercem!

Oblicze hrabiego zachmurza się, oczy błyskają surowo.

— Władysławie!.. — przerywa gniewnie — za młody jesteś, aby mnie uczyć: co i w jaki sposób mam czynić. Nie rozumiesz stosunków i lepiej będzie, jeśli się niemi przestanieś zajmować. W życiu i czynach naszych musi wszędzie i zawsze własny interes stać na planie pierwszym. Nie możemy, unosząc się czułościowością, zakłócać sobie samym spokoju. Dopomagając Łaszczo, pokrzyżować-bym musiał plany barona, który już uważa ich jako łup pewny, rozgniewałbym go na siebie; gdy tymczasem Baron, a raczej dobre z nim stosunki są mi potrzebne. To człowiek ze stali, silny, twardy, niezłomny: nie chcę go mieć przeciw sobie.

Z takim sąsiadem trzeba być ostrożnym i drażnić go nie można, bo szkodzić może. W całej okolicy my dwaj, to jest ja i on, stanowimy wybitne potęgi jako właściciele więksi: trzeba też, abyśmy żyli obok siebie w zgodzie.

Baron, jak dotąd, jest przyjacielem naszym, przynajmniej zachowuje się jak grzeczny sąsiad, i dobrze nam z tem obu.

Z przyjaźni takiej, czy chociażby z jej pozorów, obadwaj możemy korzystać; gdy tymczasem z Łaszcza, który ledwo już się trzyma, cóż nam przyjść może?

Chłopak słuchał w osłupieniu zimnej jak lód argumentacji ojca.

— Mamyż ich dla tego porzucać? bez pomocy?!

— wyrwa się z ust jego przez naciśnięte zęby.

— Najlepiej pozostawmy ich własnemu ich losowi. Niech się bronią, jeśli mogą.

Władysław jest teraz blady, jak śmierć... Oczy tylko powiększone wśród białej twarzy, goreją mu jak pochodnie.

— Ojciec, to krewni!.. — wymawia głosem drżącym namiętną prośbą.

— Którzy nas nienawidzą, — i najrozsądniej zrobimy, gdy będziemy nienawidzili ich także. — kończy hrabia krótko, powracając do stołu.

Młody chłopak nie odpowiada już także nic; milejąc, powraca do okna. Na młodocianej jego twarzy pojawiają się ślady głuchego buntu. Czoło marszczy się jeszcze silniej, oczy pod ściągniętymi brwiami błyszczą tłumionym ogniem, nozdrza rozszerzają się namiętnie, jak u dzikiego konia. Pod płócienną bluzą pierś podnosi się szybko, rozsadzana tłumionem uczuciem, które zaczyna się tam burzyć, wepchnięte przemocą w głąb młodej duszy. Oddycha ciężko najmłodszy syn wspaniałego domu i spogląda w dolinę ku dworkowi pana Michała. Kilka razy podnosi rękę ku zawieszce koszuli, jakby go tam coś dawiło, kilka razy kładzie dłoń na klamce drzwi szklanych, prowadzących na terrasę.

Naraz, porywa się gwałtownie, chwytając leżące na oknie płócienne kepi z francuskim daszkiem, otwiera drzwi, zbiega szybko ze wschodów i leci, pędzi w dół, ku pracującej gromadce na pszenicznym łanie.

Słońce zapadło już za lasy i mrok ciężki, duszny, spotęgowany coraz groźniej kłębiąciami się chmurami, zaściela ziemię. Przy tej zdwojonej ciemności, coraz częściej, jaskrawiej, pojawiają się błyskawice, czerwonymi zygzakami przelatując po czarnych wśród ciemności niebiosach. Zdała rozlega się głucho, złowrogie huczenie grzmotów. Niekiedy na krańcach horyzontu zarysowuje się płomienisty wężyk spadającego gromu—brzemienne ulewą łono chmury rozdziera się szeroko, olśniewając oślepiającym światłem zacięła w niemem przerażeniu przyrodę.

Zuwiarze nie zesli jeszcze z pola. Pół w ciemności pół w ognistym oświetleniu błyskawice zwijają się z wysiłkiem, zbierając na wozy ostatki plonu, walcząc o niego z groźącą nawałnicą.

Między pracującymi tu i owdzie przesuwa się piękna postać Maryi. Dziewczyna, oblana potem, błąda ze zmęczenia, rzucawszy kapeluszy z głowy, maleńkimi białymi rączkami, podrapanymi o ostre ściernie, dźwiga ciężkie snopy zboża i podaje ładującym na wozy. Pierś jej strużona oddycha ciężko, dłonie znużone ledwo już mogą podolać nieodpowiedniej dla nich pracy. Czasami przystaje, podnosi głowę w górę i nieprzyjemnej, huczącej w ciemnych przestworach potędy patrzy jej głowę, ukazując twarz rozjaśnioną niezłomną energią i oczy błyszczące, jak gwiazdy, zpod staroganych wiatrem i robotą włosów.

W tej chwili, upadając już niemal ze znużenia, podchodzi do nowej kopy, którą potrzeba rozebrać i przenieść na wozy. Zabiera się do tego ostatnim wysiłkiem woli, gdy nagle nieznaną postać młodzieńcza zjawia się przy jej boku i silniejsza ręka odbiera jej snopek z dłoni.

— Przyszedłem pomódz wam, w pracy, kuzynko Maryo—odzywa się młody, wesoły głos z prostotą. — Nie na wiele zapewne przydam się tutaj, lecz pomyślałem, że miło wam będzie, widzieć przy sobie w tej chwili kogoś z tych, którzy, jak może sądzicie, nie troszczą się o was wcale...

Dziewczyna teraz dopiero poznaje chłopca, którego niekiedy widywała tylko zdaleka.

Wyciąga rękę, ściskając dłoń jego gorąco.

— Niech ci Bóg płaci, bracie Władysławie — mówi wzruszona, z równą prostotą, z jaką on odezwał się do niej.

Na dalszą rozmowę niema czasu. Wicher zaczyna się właśnie zrywać gwałtowny i robota wymaga zdwojonej energii.

Pierwsze grube krople deszczu spadają na czoła robotników, gdy wozy z resztkami plonu wjeżdżają do stodół pana Michała.

Spracowana gromadka powraca do domu wśród wichru i huku piorunów.

Na końcu, przebywając bruzdy i zagony gnanii przez wichurę postępują Marya z Władysławem trzymając się za ręce.

— Patrz, kuzynko — mówi wesoło młody chłopak — zdaje się jakoby wszystkie potęgi świata zmówiły się przeciw nam, a wichur to już wysłała się czynnie, aby rozerwać świeżą naszą przyjaźni!..

— Przeciwnie, bracie — odpowiada łagodnie dziewczyna. — Nie zapomnę nigdy tej ciężkiej strasznej nocy, gdyż ona to przygnała cię do nas, z dobrem uczuciem w gorącym sercu...

Słowa młodej panny przerywa błysk straszliwy i huk ogłuszający gromu, od którego ziemia zdaje się wzdrygać pod ich stopami. Wśród zamglenia krajobrazu przez ulewę, w blasku rozdzierającego ciemności pioruna, zjawia się nagle, tuż przed nimi, jeździec, na karym, niespokojnie rzucającym się koniu.

— Władysławie! Władysławie! Czy jesteś tu?!—woła ostry, gniewny głos Alexandra.

— Jestem.

— A — odpowiada jeździec surowo! — Stajesz się poprostu śmiesznym. Wracaj do pałacu! — Ojciec się gniewa... Wracaj natychmiast!..

Twarz chłopaka nie widać, lecz zdaje się, że wezwanie starszego brata nie czyni na nim wielkiego wrażenia.

— Jestem śmiesznym... Może nie tyle, ile to się zdaje tobie, braciszku!—odpowiada spokojnie, zwracając się do Maryi: — Bywaj zdrowa, siostrzo — dodaje serdecznie. — Szczęśliwy jestem tą myślą, że wiecie już o tem, iż macie pomiędzy nami życzliwe dusze.

— Bądź zdrow, bracie Władysławie — odpowiada młoda panna. -- Masz dobre, dzielne serce!

Po tych słowach rozstają się i dwaj bracia nikną w ciemnościach.

Na błękitnem, czystem niebie słońko dobiega południa. Ziemia, niedawno zielona, pokryła się błądą, złotawą barwą. Drzewa i lasy przybrały

bogata, purpurową szatę jesieni, trawy szczytniały, po ostrych rżyskach czepiają się długie, srebrzyste pasma pajęczych przędzy, tkanych przez drobnych, niewidzialnych pracowników w słonecznych przestworach. Za bukowym laskiem, tuż od granicy barona, kilkanaście pługów, zaprzężonych w dobre woły, kraje złocisty szmat niedawno sprzątnionego ściernia, pod ziarno na plon nowy.

W powietrzu rozchodzi się woń wilgotnej, świeżo poruszonej ziemi, zmieszana z delikatnym dymem ognisk pastuszych, wzbijającym się wesoło w czyste błękity. Na granicznym kopcu, oparty o słup malowany, z napisem „Dronkau“ strzegącym terytorium barona, stoi Jan, obok niego, przecinając powietrze przecikiem łożyny, umieszcila się Marya.

Jan ma na sobie długie buty i ciemny, krótki kozuszek, który-to strój, czysto gospodarczej natury, wraz z silnie pociemniałą od zmian powietrza twarzą, nie zdaje się mieć nic wspólnego z dyplomacją. Młoda panna ma na sobie piękny kostium granatowy, obłożony popielatem futerkiem, od którego odbija słicznie świeża twarzyczka, zaróżowiona ostrawym powiewem wietrzyka.

Oboje wyglądają na ludzi wesołych, głęboko szczęśliwych. Jan wyjmując właśnie z koperty, suto ostemplowanej pocztowymi pieczęciami, arkusz papieru, wypełniony zbitym pismem, i czyta z wielkim zajęciem. Dziewczyna spogląda na ozłocony bładem słońcem krajobraz, oddychając z rozkoszą, surowem już, chłodnem powietrzem jesieni.

— Dzięki Bogu, Teodor jest więc szczęśliwym! — przemawia żywo Jan — Studium jego, zwróciło na siebie uwagę znawców, rokujących mu przyszłość niepospolitą. Otwiera się przed nim życie świetne, sławne, wielkie!

Dziewczyna zwraca na mówiącego jasne, trochę niespokojne oczy.

— Podzieliliście się dobrze, ukochani! — Ale ty, Janie, wybrałaś część lepszą.

— To ty wybrałaś ją za mnie, najdroższa, i uwielbiam cię za to!

Młoda panna kładzie obie ręczki na jego ramionach, spoglądając mu w oczy badawczo, modremi żrenicami.

— Jesteś ty naprawdę szczęśliwym, Janie? — Mów szczerze... Nie zazdrościsz-że Teodorowi tych laurów i sławy, nie żałujesz dawnych swych marzeń o wielkości? — Czy nie rwie ci duszy tajona tęsknota, za swemi nieziszczonemi rojeniami, gdy stoisz tak oto wśród cichego pola, patrząc z dnia na dzień na te plugi, odwalające leniwo skibę za skibą?

On pochyla nieco głowę, patrząc z zachwytem w uroczą twarz słicznej swej narzeczonej.

— Nie — odpowiada z uśmiechem, lecz z głęboką powagą w głosie. — Żadna cząstka mej istoty nie odrywa się już zpod tego bladego, chłodnego nieba, odkąd serce, niewzruszone w swych głębiach, przez ciebie ślubowało wierność obowiązkom.

Gospodarstwo nabiera w mych oczach z dniem każdym tem większego uroku. Czarna ta gleba, zdająca nam się zdala prozaiczną i jałową, staje się coraz droższą, przywiązując serca nasze do siebie temsilniej, im więcej włożymy w nią trosk, potu pracy własnej.

Oczy pięknej panny ciemnieją, stając się niemal czarnymi.

— Czujesz tak, Janie? — pyta gorąco — a! Bóg jest nad nami i nie wypleni nas nikt z tego zagony, póki trzymać nas będzie na nim moc z krwi, łez, bólów naszych, wsiąkłych tu od wieków! — W górę czoło podnoszę, o ukochany mój, bo jestem dumna z ciebie!

On obejmuje ręką składną kibić dziewczyny i milczą chwilę, uśmiechając się do siebie w jasności słońca, lejącego potoki światła na ich wesołe głowy.

— Południe — mówi po chwili Jan — Czekaj tu na mnie, Marysiu, rozkażę parobkom zjechać już z pola i pójdziemy razem do domu.

Mówiąc to ex-dyplomata schodzi z kopca, dając mężkim szerokim krokiem w stronę oraczy.

Maryja pozostaje na kopcu sama. Kręcąc w ręczce łożynowy prątek, nuci wesołą piosenkę i spogląda z pewną lekką zadumą na chmary wron, podlatujące ponad świeżo podoraną niwą. Potem odwraca się w drugą stronę, gdzie, jak okiem zasięgnąć, rozciągają się posiadłości barona.

Na polach możnego sąsiada panuje ruch natężony. Ciemne mrowiska robotników krzątają się żwawo, kopiąc kartofle i inne jarzyny okopowe. Zastępy wozów, pełnych bogatego plonu złotodajnej gleby, krzyżują się na wszechstrony, zabierając z pola plon forsownie eksploatawanej ziemi, mający przerobić się na srebrne marki, w tych, z czerwonej cegły, dymem buchających gmachach, z wysokimi kominami. Wszystko tam odbywa się składnie, szybko, porządnie, ostro, jak na komendę przy wojskowych manewrach. Gromkie rozkazy niemieckich ekonomów, krzyżują się w powietrzu, nad zgiętymi plecyma ludu, krótkie, energiczne, doniosłe.

Dziewczyna na kopcu przygląda się temu ze smętnem zajęciem, gdy tuż obok, daje się słyszeć lekki turkot i znany faeton barona ukazuje się na drodze.

W faetonie siedzi, jak zwykle, on sam, teraz w szarym płaszczu jesiennym, rzucając bystre spojrzenia na prawo i lewo, zpod futrzanego daszka czapki. Obok pryncypała przysiadła się bokiem na siedzeniu, i tak niewiele miejsca zajmująca, chuda figura Gottlieba. Jadą wolniutkim truchtem, a rozmawiają ze sobą żywo, spoglądając na pola i smugi, należące do pana Michała. Nagle urywają rozmowę, spostrzegłszy córkę jego, stojącą na kopcu.

Baron przybiera surową twarz swoją w przyjacielski uśmiech, zatrzymuje kare rumaki tuż pod słupem granicznym i, zdejmując grzecznie czapkę z głowy.

— Dobry dzień, panno Maryo! — przemawia wesołym, dobrodusznym tonem.

Panna oddaje mu ukłon, znanym nam już ruchem, podnosząc najpierw główkę do góry, a potem pochylając ją lekko.

— Dzień dobry, p. baronie — odpowiada lekko drwiącym głosem.

Baron nie rusza od kopca, patrzy z dołu na stojącą pod malowaną tablicą dziewczynę i brzuszek jego poczyną się trząść cichym, stłumionym śmiechem.

— He, he, he! — Widzę lubisz pani to miejsce, panno Maryo? — zawija przyjaźielską gawędkę, akcentując ją delikatnie — kolącą, zjadliwą ironią. — Spotykam panią tu często... bardzo często... Stojąc na tem wzniesieniu, przypominasz pani istotnie generała, obserwującego uważnie plac boju... Szkoła, że nie używasz lunety polowej... wyglądałabyś wtedy zupełnie na wielkiego wodza!..

Dziewczyna uśmiecha się wesoło. Ale w sercu tyle szczęścia, że szyderstwo sąsiada zapala w jej oczach figlarne błyski. Był to wzrok małego szatanka.

— Nie potrzeba mi tego kochany sąsiedzie — widzę i tak doskonale: twoją fortecę, armię i ciebie samego! — odpowiada żartobliwie.

Baron uchyła grzecznie futrzaną czapkę.

— Przyjemnie mi, że mój kopiec i słup graniczny, zyskały sobie u pani łaskę... nadając się pani na dogodny obserwatorium...

— Piękny posterunek! — rzuca krótko panna, zatrzymując spojrzenie na drukowanym napisie tablicy.

Oboje rozumieją się doskonale.

Na twarzy okrągłego jegomości przywoływany siłą woli uśmiech przechodzi w drapieżne ściągnięcie rysów. Trwa to przecież tylko jedno oka mgnienie. Po chwili srogie oblicze wypogadza się szczerze jowialnym wyrazem.

— Cóż ojciec... szanowny pan Michał, zdrów? — zapytuje uprzejmie, rzucając ukradkowe, przeszywające spojrzenia w stronę pługów, stojących pośród nawpół-zoranego pola.

— O tak... zdrów zupełnie... Dziękuję...

— Zrobiliście już państwo dużo w polu. Zabieracie się, jak widzę, do wczesnego siewu?

— Im prędzej, tem lepiej. Chcielibyśmy na rok przyszyły rozpocząć żniwo prędzej, zanim baron rozpocznie je u siebie... gdyż inaczej, mimo całej pana przyjaźni, bywa nam trochę niewygodnie.

Baron poczyną się śmiać, uderzając wesoło ręką po kolanie.

— He, he, he! — nie zjadłem was przecie!

— O mały włos, p. baronie.

— No, ale jednak nie zjadłem! Sprzątnęliście szczęśliwie, opłacili raty zaległe, poumarzali długi i Polesie nie idzie na subhastę.

— Bardzo mi przykro...

— No, no, nie żartuj pani! — Pan Jan, jak widzę, wziął się do gospodarstwa.

— Odkupił nawet wczoraj od sąsiada Wąrowskiego te dwie wioski, które pójsć także miały na sprzedaż drogą licytacji.

Ostatnia wiadomość nie doszła snadź jeszcze do uszu barona, bo twarz jego chmurzy się złowrogo, oczy nabierają okrutnego, zimnego blasku.

— I wszystkiego tego dokonałaś podobno pani? — pyta, starając się znów przybrać przyjacielski wyraz.

Dziewczyna schodzi żywo z kopca, stając na drodze tuż przy faetonie.

— Tak, ja... — odpowiada, patrząc jasnemi oczyma w okrągłe oczy grzecznego sąsiada.

Baron przygląda się jej z dobrotliwym uśmiechem, załamującym się w kątach ust grubych w rys bezlitosnej, zabijającej ironii.

— Niebezpieczny z pani przeciwnik! — wymawia zwolna: — Wyście wszystkie takie... Energetyczne, entuzjastki i uparte... Prawda?

— Jeszcze nie wszystkie, ale nas będzie coraz więcej z każdą chwilą.

— He, he, he! — zkaźde to brać się będą, te zatrwajające zastępy?

— Ze szkoły życia, p. baronie — odpowiada dziewczyna poważnie, ale potem uśmiecha się wesoło: — To p. baron i jemu podobni jesteście nauczycielami. Wyzwaliście nas do gry: kto mocniejszy, ten lepszy... i my oto mężniejemy wśród tego ruchu, gymnastykujemy się, kochany sąsiedzie, i mężniejemy... Nauka nie idzie w las...

Kłania się rozpromieniona i odchodzi, a baron spogląda za nią, śmiejąc się zeicha, zacina konie i rusza zpod kopca w stronę swych włości. Skoro przecież oddalił się o kilkanaście kroków, twarz jego zasępia się surowo, czoło się fałduje.

— *Verfluchte Mädchen!* — rzuca przez zęby.

Potem jedzie długą chwilę w głębokim milczeniu. Oczy jego, biegające żywo po okolicy, rozjaśniają się dopiero wtedy, gdy już mogą spozczać na widniejącym zdala, łamanym dachu pałacu na górze.

— To szczęście, że nie zwąchali się jeszcze ze sobą — ci z tamtymi! — wymawia ostro.

O, co do tego, to możemy spać spokojnie! — wtrąca milczący dotąd praktykant — nie porozumieją się nigdy. Najmłodszy syn uciekł wprawdzie z pałacu, na łan ubogich krewnych kosić z nimi snopki, wśród owego burzliwego wieczora; lecz ojciec, rozgniewany za to, wysłał go z domu, gdzieś daleko, pono jeszcze do jakiejś szkoły.

Oblicze barona rozjaśnia się coraz przyjemniej:

— No, tośmy wygrali! — zawsze wygrali! — Rychelej, czy później, przyjdą Łaszcze na nasze podwórko. Będziemy ich mieli za lat kilka, a w dodatku jeszcze połkniemy wraz z nimi kapitały tego.. pana Jana, który się rozkochał w dziewczynie... Jedno tylko byłoby złem, złem bardzo: oto, gdyby tamci zechcieli ich popierać. Ale oni o tem nie myślą — i to stanowi właśnie główną naszą wygraną, że panowie z pałaców nie wiążą się z tą ubogą zgrają z dworów i dworków... to, to... Gottlieb.

K O N I E C.

## WSZYSTKO OPUSZCZA.

Wszystko powoli opuszcza człowieka:  
Młode uroki, nadzieje i siły,  
Przecież u końca drogi zawsze czeka  
Zaciszny domek — mogiły...

Na odpoczynek tam on się położy,  
Gdzie nic nie przyjdzie zmieszać mu pokoju;  
Oschną na czole wszystkie krople znoju,  
Stróżem będzie anioł boży.

To też w kim dusza nadto już zmęczona.  
Kto ma goryczy nadto i żaloby,  
Niech pójdzie czasem popatrzeć na groby  
I krzyż, co wznosił tam ramiona.

M. I.

## LIST Z RZYMU.

Minęły piękne dni — słońca i swobody; wasz korespondent, który ich używał w zacisznej dolinie Apeninów, wraca do obowiązków i zdaje wam sprawę z tego, co zostało w tyle, a najpierw z tego, przed czem ze stanowiska swego zbiegł. Burzą tu stary Rzym na sposób barbarzyński i można dodać świętokradzki, bo bez żadnej czci dla przeszłości, bez żadnego uszanowania pamiątek, napelniając przytem powietrze niewytrzymałym starych prochów kurzem, budują się na jego wielkim rumowisku najrędniej, jak to pomyśleć można. Już wam to kiedyś pisałem o tej nowej gospodarce mirmidonów, którzy napadli leżącego w prochu olbrzyma. Ludność rzymska, zdemoralizowana przez długie wieki ciemoty i zastoju, zetknęła się nagle z tak zwanym duchem czasu i uboga a chciwa, rzuciła się bez pamięci na nic i zastanowienia nad niczem w spekulacje budowlane. Burząc, rozbijając, niwellując, tworzą nowy Rzym — szkaradny, koszarowego stylu. Ulice pod sznur wyciągnięte, szerokie i długie; kamienice o pięciu, sześciu piętrach, nietylko brzydkie dla oka, bez żadnego względu na jakiegokolwiek piękno i prawa estetyki, bez żadnej architektonicznej ozdoby, są przytem stawiane jak budki z kart: tak lichy, o ścianach tak cienkich, że się to nierzadko wali na głowy ludzi, którzy uciekać z nich muszą, ledwo, że zamieszkawszy. Bywa nawet i tak, że zanim się lokator sprowadzi, dom runie, a że to wszystko budowały spółki przemysłowców bez kapitału, przyszły więc bankructwa i ruina mnóstwa osób, które dały się złapać śmiałym krętaaczom tem łatwiej, że ta ludność rzymska, na którą to spadło nagle, nie posiada żadnego wyrobienia przemysłowego. Żądza wzbogacenia się, obok niezmierniej ciemoty w tym i wszelkim kierunku, wydała owoce konieczne: krach niesłychany! — Jedna tylko z upadających spółek budowlanych, spółka Moroni, przedstawia upadłość stu milionów lirów.

Rząd włoski musiał swoim kosztem odesłać do domów, to jest na wieś i miasteczka, dziesięć tysięcy robotników, którzy nagle znaleźli się na bruku rzymskim bez grosza, więc bez chleba i dachu nad głową. Inaczej, byłoby to mnóstwo marło z głodu po ulicach albo rabowało. Zająć było jeszcze trzeba jako tako kilka tysięcy pozostających: dać im pracę koło robót publicznych, których nie rozpoczynano-by obecnie ze względu na finanse, bynajmniej nieświeżone.

Pisałem wam jakich to mianowicie okolic starej Romy czepiło się to handlarstwo, zwane spółkami budowlanymi. Odtwórcie sobie w wyobraźni obraz: stojące na tym gruncie klasycznym

obok szeregu domów pustych, w których ludzie już mieszkać nie chcą i których zresztą nastawiano nad potrzebę — szkielety niedokończonych: ściany bez dachów, z otworami bez okien!

Papież, całe lato przebył w Rzymie, odbywając wellagiaturę w watykańskich ogrodach. Trzymając się zasady, że jest więźniem w murach Watykanu, nie wyjechał do letniej rezydencji papieżkiej: willi Castel-Gandolfo w pięknym i zdrowym położeniu nad jeziorem, jakkolwiek jest ona objęta ustawą rękami nietykalności. Wyporzadzono mu na letni pałacyk *casino* Piusa IV, znajdujące się w ogrodach watykańskich, bardzo piękne jako budynek stylowy, a którego urządzenie kosztowało obecnie skarb papieżki 90 tysięcy lirów. Papież udawał się tam co rano o godzinie 6-tej; powozem lub niesiony w lektyce przebywał obszerne ogrody watykańskie i dopiero w tak zwanych ogrodach dolnych zatrzymywał się na ślicznym, cienistym, malowniczo zarosłym wzgórzu, z którego przez most tak rzucony, że prowadzi wprost na balkon pierwszego piętra *casino*, dostawał się tam pieszo. Letnia ta rezydencja jest maleńkim cackiem architektury włoskiej o parterze i jednym piętrze. Dół zajmuje duża, prostokątna sala, w której przebywają *palafranchieri*, czyli mastalerze papieżcy i *siedari*, to jest tragarze przenośnego tronu; dalej sala, z której wiodą na górę bardzo piękne wschody, za uciążliwe przecieć do przebywania dla Leona XIII. Na pierwszym piętrze znajdują się tylko trzy sale i kaplica, w której papież odprawiał codziennie mszę zaraz po przybyciu. Potem jadł śniadanie, to jest pił kawę, którą Leon XIII bardzo lubi i nad wszelkie inne napoje przekłada, a dalej już według przyjętego trybu życia papieża praca kilkogodzinna: czytanie dzieł, świeżo wyszłych a traktujących kwestye religijne, korespondencja albo posłuchania dawane kardynałom, urzędnikom duchownym lub ambasadorom.

Przyjęcia te odbywały się w sali tronowej, wybitej purpurowym adamaszkiem; druga obszerniejsza, podłużnego kształtu, wybita zielono, podzielona na dwie połowy przez zieloną też portierę, służyła papieżowi za gabinet do pracy i jadalnię; a dalej, poza portierą za przesypania, jeżeli się tak wyrazić można, — bo Leon XIII, już starzec, sypia zawsze po obiedzie, spożywanym stale o godzinie 2-giej, — odbywa tak zwaną *siestę*. Że jednak *casino* położone jest w rozłogu, Papież uważał, że powietrze było tu parne i ciężkie do oddychania, więc rozbito mu namiot na szczycie lesistego pagórka, zarosłego włoskimi dębami i laurem, gdzie też przesiadywał głównie, gdzie pracował, mając tu przy sobie otoczenie już najbliższe. Straż przyboczna papieżów, Szwajcarowie w malowniczym stroju średniowiecznym, obmyślanym dla nich przez Michała Anioła, z halabardami z XVI wieku, trzymali zawsze wartę pod portykiem *casino*, z przepiękną kolumnadą, wychodzącą na dziedzińczyk z bijącym wodotryskiem w pośrodku, i można twierdzić, że żaden na świecie dwór monarszy nie ma tak estetycznie pięknego, tak malowniczego otoczenia i form wspaniałego ceremoniału. Włoski geniusz z epoki Odrodzenia jest tu cały i roztacza urok podbijający.

O szóstej wieczorem wracał zawsze Papież do Watykanu; zdrow jest, ale ciężko dotknięty, nietylko samym aktem wzniesienia pomnika dla Jordana Bruno, ile sposobem, w jaki odbyła się ta uroczystość, przed którą uciekła z Rzymu królowa Małgorzata, — przed którą usunął się poza stolicę swoją król Humbert z królewiczem. Wiecie już zapewne dość o tej sprawie, na cały świat głośniejszej; ale nie wiem, czy was doszła wiadomość o czei Lucypera, o chorągwi wolno-mularskiej nowej łoży, która się utworzyła w okolicach Genui. Chorągiew ta, a raczej *labarum*, bardzo kosztowna i artystycznie piękna, nosi na sobie jako godło malowaną na jedwabiu postać zbuntowanego i straconego archaniola Lucyfera, *alias* Lucypera, który, wznosząc w górę miecz ognisty, depcze wierne i posłuszne Bogu Archaniola Michała. Powiecie mi, że już Wieki Średnie miały taką cześć dyabła, jakoby symbol uciśnionego i chcącego się praw swoich dobić ducha; ale tu, we Włoszech i w tej chwili czasu, protestacye takie nie

mogą mieć znaczenia jako odpór jakiś — jest to raczej napad i wyzwanie.

Myśmy ucierpieli na tem rozognieniu umysłów i starciach w starej pamiętce historycznej, której całość poręczało nam słowo królewskie. Błyskawicznie, powiedzieć można, załatwiono się z rozebraniem celi S-go Stanisława Kostki. Zamieszkuje Rzym Polacy bez różnicy przekonań religijnych pośpieszyli unieść i od zniszczenia uchronić co się dało. Zapewne wiecie już o tem z dzienników. Organa wszelkich stronniectw rozpisywały się szeroko o sprawie wzniesienia podobizny zburzonej kaplicy: o zbudowaniu jej obok kościoła S-go Jędrzeja. Tam-to przeniesiono całą jedną ścianę celi Świętego, jego posąg i inne relikwie, czy pamiątki. Otóż przy zdejmowaniu ze ściany obrazu włoskiego malarza Minardi ukazał się pod tynkiem bardzo piękny fresk, który uważają za dzieło Karola Maratta, bo mistrz ten, zajmujący wysokie miejsce w sztuce włoskiej tamtego czasu, malował w sąsiednim kościele obrazy z życia S-go Stanisława. Że swoją drogą nie chciano nam wyrządzać przykrości, torzeć pewna. Stano przy zasadzie, i zgoła inaczej załatwiono by interes, gdyby w grę nie wchodziła interwencja kobiet z Galicyi. Fresk wspomniany jest bardzo piękny i wyobraża chór aniołów rzucających kwiaty na ciało i przyjmujących ducha Świętego.

Część tego fresku odpiłowano i przeniesiono także do owej naśladowanej celi.

Umarł we Florencji w połowie Lipca senator, Michał Amari, historyk oraz człowiek używający wielkiej sławy i miłości wśród rodaków swoich. Urodzony w Palermo w 1806 roku, w szesnastym roku życia przeszedł przez wielki dramat, który wycisnął piętno swoje na całym kierunku uczuć jego i myśli. W r. 1822 ojciec jego został skazany na karę śmierci przez rząd burboński, a on stał się nagle opiekunem licznej rodziny, którą konfiskata majątkowa zostawiała w nędzy. Ciężar był wielki, lecz snadź powiedział sobie: „Od czegóż są ramiona!“ — dźwignął go też szlachetnie i uniósł szczęśliwie.

Jako syn swego ojca, podejrzany i prześladowany, musiał młodzieńcem opuścić Sycylię i długo jeść gorzki chleb wygnania. Wrócony krajowi i rodzinie w lat kilka, ogłosił wkrótce pierwsze swe dzieło: „Dzieje Nieszporów Sycylijskich“, przez które stanął od razu w rzędzie pierwszych włoskich pisarzy i historyków współczesnych, ale niedługo przebywał w ojeździe i raz jeszcze rzucić ją musiał: schronił się do Francji, i zamieszkałszy tu Paryż, poświęcał się badaniom dziejowemu, w których wspomagały go bogate biblioteki i zbiory nagromadzone w stolicy Francji; uczył się też arabskiego i nowo-greckiego języka, słuchał wykładów prawa w Sorbonnie i napisał drugie, w swoim czasie głośnie, dzieło w dwóch edycjach: powłosku i pofrancuzku, i teraz już, jako uczonej wyższej miary, miał przed sobą otwartą drogę do wszystkich zaszczytów i takich celów życia, które zapewniają człowiekowi szczęście. Ale jak Alf nie znalazł go w domu, bo go nie było — w Sycylii, do której wrócił przecieć poraz drugi, w r. 1843; został professorem prawa na uniwersytecie w Neapolu, ale znów wkrótce musiał wracać do Paryża, gdzie wydał w r. 1849 książkę: *Sycylia i Bourbonowie*, aż niezmeżony nigdy w pracy dla dobra kraju, znów się znalazł w ojeździe w r. 1860. W 1861 mianowany przez Wikt. Emmanuela senatorem, potem namiestnikiem Sycylii, ministrem skarbu, piastował już wciąż wysokie urzędy, jako minister oświecenia Włoch Zjednoczonych w gabinecie Farini'ego, Minghetti'ego. Był najściślejszym przyjacielem Correnti'ego, a to już wskazuje, jakim był kierunek jego czuć, jakim był kierunek jego przekonań. Do zdań jego należało, że historyk musi być przyjacielem spraw szlachetnych, bo lepiej, niż kto inny ma odsłonięnym sobie obraz pracy i poświęceń ludzkich w podpieraniu tego, co jest podstawą życia społeczeństw i badania dziejów wykazują przez stawianie skutków obok przyczyn, jak jedno wpływa z drugiego: jak w życiu ludzi i narodów wszystko ma konsekwencje swoje i zadzierguje węzły, które potem stanowią o doli lub niedoli życia.

Wkrótce, bo prawie w miesiąc po śmierci Amari'ego, Włochy straciły drugiego znakomitego

człowieka, także jednego z tych, który pomagał, aby Włochy stały się czemś więcej, niż terminem geograficznym, jak je nazwał był niegdyś Metternich. Umarł Benedykt Cairoli, dobry syn rodzinnej swej ziemi, człowiek gorącego uczucia, natura namiętnie ognista, zdolna do wszelkich poświęceń dla sprawy swego narodu.

(Dokończenie nastąpi.)

## NOWINY PARYZKIE.

Paryż 1 Września, 1889 r.

Jeszcze Szach Perski. — Jego wstąpienie do windowania się w górę. — Balon i wiersze. — Wyjazd. — Uroczystość w Pantheonie. — Przeniesienie zwłok: Carnota, generała Marceau, hr. La Tour d'Auvergne'a i Bodin'a. — Uroczystość otwarcia nowej Sorbonny. — Delegacje uczniów cudzoziemskich. — Przedstawienie urządzone dla nich w Wielkiej Operze. — Posłuchanie pożegnane w Pałacu Elizejskim. — Pani Carnot. Słowa a czyny. — Wrażenie wyroku na Boulanger'a. — Śmierć Felixa Pyat'a. — Przybycie Edisona. — Zbyteczne reklamy. — Przyrzady i doświadczenia edisonowskie na wystawie. — Jeszcze słowo o Jury nagród. — Kongresy i ich liczba. — Bankiet Merów Francji w Pałacu Przemysłowym. — Kongres Straży Ogniowej międzynarodowej. — Strażacki.

(Dokończenie).

Na tem nie koniec. Minister oświecenia, na szczęście, przypomniał sobie, że jest zarazem i ministrem sztuk pięknych — i aby uczcić godnie przybyłych na to otwarcie obcych studentów, zaważwał operę do urzędzenia na dzień 4-ty Sierpnia świętego a bezpłatnego przedstawienia.

Wszystkie krzesła parteru, — co się tu zowie orkiestrą — zajęli uczniowie cudzoziemscy w najwięcej liczbie. W amfiteatrze profesorowie, w łóżach ich rodziny, — wszystkie wyższe piętra zasiedli uczniowie francuzcy. Widok sali wielkiej opery tak zajętej, był dziwny, ale bardzo świetny; chociaż pleć piękna była w niesłychanej mniejszości.

Dawano operę: *Wilhelm Tell* Rossiniego. Od kiedy opera opera — nie słyszano tam, podobnych oklasków, nawet zapłaconych klaskaczy. Aktorowie i baletniczki potracili głowy pod tym na wałem uciechy; oklaski nie ustawały ani na chwilę. Ale trzeba było się przejść po kurytarzach i foyer, podczas antraktów. Zdawało się, żeśmy przeniesieni zostali na wyspę szczęśliwości, w nieznaną a dalekie kraje.

Nie paryzkiego, nie mieszczkańskiego — czarne złotem szyte birety uczniów paryzkich, białe czapeczki Hollendrów i Belgów, czapki z piórem węgierskie, ich szarfy przez plecy, szable brzęczące u boku odznaczały się junaetwem. Czerwone birety Włochów, szarfy białe z czerwonym Szwajcarów, dziwne rogatywki uczniów z Oxfordu i Cambridge i ich czarne togi z wyłogami — mieszały się w jakąś całość niezwykłego efektu. Ale największy sukces należy się przesyłowemu stowarzyszeniu uczniów węgierskich: w ogromnym płaszczu z czarnych baranków, w futrzanym kołpaku z piórami; musiało mu być ciepło wśród tego tłumu kipiącej braci, i w sierpniową temperaturę, spotęgowaną — jeszcze przez iluminację a *giorno* wielkiej opery!

O godzinie dziesiątej delegacja stowarzyszenia uczniów udaje się na spotkanie p. Carnot. Wraz z jego wejściem do loży — wszyscy powstają z miejsc swoich i przez pięć minut gmach się rozlega nieustającą wiaty — we wszystkich językach świata. Dwa tysiące młodych a potężnych piersi słysząc krzyżących: „Niech żyje Carnot! Francya! Rzeczpospolita!“ — to robi pewne wrażenie. To też prezydent, wzruszony, zmieszany, kłania się na wszystkie strony, krzyk wzmagają się jeszcze, birety i czapki lecą w powietrze... Koniec świata!

Zasłona podnosi się na trzeci akt Wilhelma Tella. Z głębi sceny wynurza się popiersie kolosalne Rzeczypospolitej z napisem na podstawie:

„1889“. Otaczają je w półkole wszyscy chórzyci Wielkiej Opery, każdy z bukietem róż w rękę. Młodziutki paź z trójkolorową chorągwią staje obok popiersia i w tejsamej chwili wchodzi na scenę prosty żołnierz piechoty, trzymając w rękę swoje kepi. Jest to śpiewak opery Melchissédec, przyjęty grzotem oklasków.

Orkiestra zaczyna wtór do Marsylianki. Cisza zalega teatr, cisza tak wielka, że słyszałbyś lot muchy w powietrzu. Melchissédec śpiewa pierwszą strofę, prezydent wstaje z miejsca, a za nim cała publiczność, rozkołysana, bije w dłonie i przy szóstej strofie krzyczy już w niebogłosey. Szał niesłychany ogarnia wszystkich, a kiedy artysta, kończąc ostatnią strofę, wymawia ostatnie słowa: „pójdziemy w ich ślady!“ i rzuca swoje kepi u stóp popiersia, — znowu czapki i birety lecą do góry, Węgrzy dobywają swych szabel. Biedny artysta musiał raz drugi i trzeci powtarzać pieśń całą wśród takiego zapału, iż nietylko artyści, ale cała publiczność śpiewała z nim razem.

Prezydent pozostał do końca przedstawienia opery, które się odbyło w tak podniesionym nastroju, jakiego nie zapamiętała pewno Opera paryzka.

Całutka publiczność — 2.000 młodzieży ze wszystkich stron świata, — odprowadziła p. Carnota do powozu. Tam tłumy na placu przed Operą i studenci otaczają powóz tak, że nie może się ruszyć. Okrzyki: „Niech żyje Rzeczpospolita! niech żyje Carnot!“ nie ustają. Prezydent się uśmiecha, dziękuje, ściska wyciągnięte ku niemu dłonie. Woźnica zlekka trąca biczem konie. Tłum się rozstępuje powoli i nakoniec p. Carnot wyjeżdża na czyste, a za nim jeszcze biegną wołania: „Niech żyje Carnot!“...

Przyjęcie studentów cudzoziemskich zakończyło się dopiero d. 11 Sierpnia w Pałacu Elizejskim, dokąd uczniowie cudzoziemskich uniwersytetów udali się *in gremio*, aby pożegnać prezydenta przed odjazdem z Paryża.

Zebrań odbyło się o godzinie 11-tej w wielkiej sali posłuchań na 1-em piętrze. Udała się tam delegacja złożona ze 100 przeszło uczniów, w swych strojach tak malowniczych. Delegacją poprzedzały trzy wspaniałe kosze kwiatów, przeznaczone dla pani Carnot, którą delegowani prosili, aby je przyjmując raczyła, jako wyraz ich szacunku i wdzięczności. Pierwszy kosz, pełen najrzadszych Orchideów, wręczyła prezydentowi panna Calisperis, uczennica fakultetu literackiego.

Delegacja reprezentowała następujące kraje: Anglię, Austryę — Węgry, Belgię, Finlandyę, Grecyę, Hollandyę, Norwegię, Paraguay, Szwecyę, Rosyę, Włochy i t. d.

Na przemówienie p. Chaumeton'a, prezesa stowarzyszenia uczniów w Paryżu, p. Carnot odpowiedział w pełnych uczucia wyrazach. Daje tu wam początek i koniec tego przemówienia; można z nich powziąć wyobrażenie o całości.

„Jestem oświadczeniem wzruszony, a razem szczęśliwy w imię mojej ojczyzny, widząc, z jakim uczuciem panowie przychodzicie dziś do mnie. Zaświadcza ono, że uczucie sympatii, jaką obdarzyliście naszych uczniów a waszych kolegów, należy się również i samej Francji, i jej pierwszemu przedstawicielowi...“

„Nic nam milej nie przypada do serca, nad tego rodzaju objawy“.

„Radujecie się z przyjęcia, jakie was tu spotkało. Powinniście byli, panowie, liczyć na to naprzód; a młodzież francuzka nie mogła uczynić inaczej, jeno świadcząc wam najserdeczniejszą gościnność“.

„W imię Francji pozdrawiam was i proszę, abyście kolegom waszym odnieśli wyrazy mojej serdecznej sympatii...“

Delegacja zabierała się już do wyjścia, kiedy pani Carnot kazała ją prosić o chwilkę jeszcze cierpliwości. Wkrótce weszła pani prezydentowa i podziękowała wszystkim za tak delikatną pamięć o niej — i uścisnąwszy dłonie, pożegnała zgromadzenie słowem płynącym z serca.

A teraz — wspomnijmy sobie nasze młode lata, a jeśliśmy młodzi, to pomyślmy o tem, jakie to głębokie a niestarte wrażenie sprawia na młodych sercach i głowach widok takiego obchodu, słuchanie takich gorących przemówień, — blask takich

przedstawień — a zrozumiemy, dlaczego te odwiedziny studentów zagranicznych oznaczają jeden z najbardziej wybitnych momentów wystawy paryzkiej.

Zestąpił w tych czasach do grobu człowiek, który całe swe życie pracował nad rozdmuchaniem najwłaściwszych i najzjadliwszych namiętności ludowych, rewolucjonista *intransigent*, niepokonany Felix Pyat; zmarł w samotności i ukryciu d. 3 Sierpnia w 79 roku życia. Był on przytem autorem dramatu „Galganiarze“ i książki *Loisirs d'un proscrit*. Chorował trochę na manię przesławiania; zawsze się ukrywał przed światem i teraz umarł gdzieś w odludnej wioszczynie. Pogrzeb, chociaż liczny, odbył się spokojnie na cmentarz Père Lachaise.

Nigdy i nic prosto i skromnie — to tutejsze nasze godło. Edison wybiera się do Paryża: zaraz zaczynamy to trąbić w uszy całemu światu! Żadamy — wołają — aby przyjęcie, jakie go tu ma spotkać, było przynajmniej równe temu, jakie spotkało Szacha Perskiego — wołają, nie wchodząc nie pytając czy sam Edison zgodziłby się na to?

Następnie zaczynają go nawiedzać i odwiedzać — jak się to dziś w żargonie dziennikarskim całego świata nazywa *interview'ować*. Piękne wyrażenie — godne też rzeczy, którą wyrażał Pierwszy lepszy gryziptórko, nieproszony, a nawet wypędzany, umie się wcisnąć do ciebie i bez żadnej ceremonii zaczyna cię indagować, jakby w jakiejś kommissyi śledczej. Dalej zapraszają ze wszystkich stron, nie dlatego, aby cię miłowali nad życie, ale aby mogli powiedzieć, że mieli cię u siebie i pokazywali jako cudo boskie!

Najlepiej da nam poznać tego rodzaju operacyę artykuł „Figara“, który niebo i ziemię poruszył, aby „ojca fonografu“ sprowadzić do siebie. Zaczyna on opis tych odwiedzin w następujący sposób.

„Przyjęcie, jakie Paryż sprawił słynnemu inżynierowi amerykańskiemu, przybiera postać prawdziwego tryumfu. A ta cześć musi mu być tem droższą, iż nie nosi na sobie oficjalnego stempla, i jest jakby mimowolnym popędem całego narodu, uszczęśliwionego i dumnego z posiadania w swej gościnie jednego z najszlachetniejszych geniuszów naszego czasu“.

Piękne to słowa, ale nie trzeba sądzić, że się to stało naprawdę. Przyjęcie nie było żadnego innego nad to, które zgotowali Edisonowi jego liczni przyjaciele i ziomkowie, których tu pełno w tej chwili. Do nich przyłączyło się wielu uczonych Francuzów i nie-Francuzów, zajmujących się elektrycznością i tem wszystkim, co jest w związku z tą siłą i z przyrządami fonografu. Edison zresztą ma tu na wystawie całkowity zbiór swoich przyrządów, okazujących i tłumaczących tak liczne i ważne jego odkrycia. To są jego tryumfy! Jedyny tryumf, jako świetne *theatrum*, wyprawili Edisonowi sam „Figaro“ w swym zakładzie.

Myszę, a nawet pewien jestem, że ci z Francuzów, którzy widzą, kto jest Edison, radzi są widzieć go w Paryżu i na wystawie; ale co do całego narodu, niestety, każdy to zrozumie, że to jest jedno z tych hyperbolicznych wyrażen — tak właściwych owemu-to balwierzowi z Sewilli, kiedy mu idzie o to, aby, chwalcąc kogoś, i swoją pieczęć upieć przy tym ogniu górnych sentymentów.

Odkrycia i wynalazki Edisona na polu fonografii są ważne i ciekawe niezmiernie. Widzieliśmy a raczej słyszeli te dziwne doświadczenia, tembardziej zdumiewające, że są to dopiero pierwsze i jeszcze niepewne kroki na drodze do wielkiej zdobyczy wiedzy stosowanej. Brzemienne to jest w wypadki niesłychanej doniosłości — o czem nas zapewnia to przekonanie, najpoważniejszych ludzi, a w ich liczbie samego Edisona, że jesteśmy dziś zaledwie na progu u wejścia do świątyni tej tajemniczej a potężnej siły, która była i jest głównym czynnikiem całego stworzenia.

Ponieważ mówimy o wynalazkach i wystawie, należy tu wspomnieć słów kilka o tym trybunale wystawy, o którym wspominałem w ostatnim mym liście z Lipca, a którego trzeci i najwyższy dział *Jury supérieur*, zebrał się 26 b. m. na esplanadzie Inwalidów w sali tak zwanego *Cercle populaire*. Pod dosyć długich i żywych rozprawach ten najwyższy sąd przysięgłych w sprawie rozdania na-

gród postanowił, iż uważa jako ostateczne wszelkie decyzje trybunału przysięgłych klas i grup, na które nastąpiła już zgoda członków tego trybunału, a następnie, że je przyjmuje i ratyfikuje: a więc, że się nie będzie wcale wdawał w roztrząsanie tych kwestyi, chyba, że trybunały powyższe różnić się będą w zdaniu. Najwyższe jury zajmnie się w sposób szczególnie ścisły rozpatrzeniem niedostatecznie zachowanych formalności, które mu będą wskazane co do sposobu przyznania i rozdania nagród i unieważni wszelkie postanowienia ferowane w tym względzie przez trybunały niższej instancyi.

Oto i wszystko: a więc dziś już można być pewnym, że nagrody przyznane naszym artystom i przemysłowcom przez jury klas i grup, to jest niższych instancyi, nagrody ogłoszone już dawniej w naszych dziennikach, utrzymają się w swej mocy—formalności albowiem legalne były zachowane sumiennie.

Jako niezbędny przyczynek do tej wystawy, która nas dziś zajmuje, podaję dziś wykaz wszelkich kongressów, które się tu już odbyły i jeszcze odbyć się mają do chwili zamknięcia wystawy. Ciekawa to jest rzecz wiedzieć, jakie rozmiary i doniosłość wielostronna miał ten ruch umysłowy świata, który się skupił naokoło wystawy paryzkiej.

Pierwszy kongres, który otworzył te umysłowe pokojowe szranki 12 Czerwca, był to kongres ratunku dla ginących (*Sauvetage*).

Po nim nastąpił kongres rozpowszechnienia gymnastyki w zakładach naukowych, dalej kongres własności literackiej—(ob. moje zdanie sprawy)—kongres pokojowy (arbitrów międzynarodowy); nietykalności budynków w czasie wojny, taniach mieszkań, udziału rządu w sprawach kontraktów pracy, rolnictwa, wpływu rządowego na uregulowanie cen zboża i pokarmów w ogólności, wykształcenia technicznego, handlowego i przemysłowego. Wszystkie powyższe kongresy odbyły się w Czerwcu i w pierwszej połowie Lipca.

Następnie przyszyły: kongres głuchoniemych, kongres kobiet, kongres dzieł i zakładów niewieścich—(ob. moje zdanie sprawy)—kongres pomocy i ochrony osób i własności w czasie wojny, kongres udziału w zyskach, zużytkowania wody rzecznej i wreszcie—własności artystycznej. Zamknęły one miesiąc Lipiec.

W Sierpniu: kongres straży ogniowych; pomocy biednym (*assistance publique*); przeciw opilstwu (*alcoolisme*); tradycyi podań ludowych; kolonizacyi, chowu gołębi (*Colombophile*); stenografii, terapii, własności przemysłowej, higieny i demografii, medycyny umysłowej (*mentale*), nauk geograficznych, zoologii, fotografii, antropologii kryminalnej, nauk początkowych, medycyny sądowej, ogrodnictwa, elektryczności—i inne mniej ważne.

Na Wrzesień są już zapowiedziane: kongres dentystów, metalurgiczny, chronometrów, wzajemnej pomocy (*coopération*), mechaniki, wypadków skaleczenia lub śmierci przy pracy, meteorologii i t. d.

A w końcu na Październik: kongres prac morskich, hydrologii, architektury, aeronautyki, chemii, statystyki, ujednostajnienia czasu czyli jednej powszechnej godziny. Słowem: siedmdziesiąt, co najmniej, kongressów miały i będą mieć miejsce w czasie trwania wystawy paryzkiej, częścią w Pałacu Trokaderskim, częścią w lokalach zajmowanych przez rozmaite stowarzyszenia prywatne.

Gdy była już mowa o tylu obchodach, bankietach i reprezentacyach, nie można pominąć sławnego bankietu w pałacu przemysłowym na Pólach Elizejskich, który rada miasta Paryża wyprawiła dla wójtów wszystkich gmin Francyi. Na trzydzieści sześć tysięcy gmin, z których składa się Francya—13.000, nie tylko przyjęło zaproszenie, ale wysłało swoich sterników na wielką uroczystość. Było to dużo, ale nie trzeba nadwycieczajnie się zapalać i grzmieć na trąbach, żeśmy niby fetowali wszystkich wójtów Francyi, i że to była najwspanialsza manifestacja naszego wieku!

„Mówić o wielkim narodowym rachunku z powodu przybycia i uczty wójtów,—byłoby to samochwalstwem”—są słowa niepodejrzanego o stronność,

ale niezmiernie mdłego w republikanizmie, dziennika „Journal des Débats”. — „Można się nawet dziwić, że wójtowie całej Francyi, zaproszeni przez prefektów jako urzędnicy, śmieli wtak wielkiej liczbie pozostać w domu; a z tych 13.000—powiadają „Debats”—i to jest święta prawda, część największa uległa pokusie zobaczenia choć raz w życiu tych cudów stolicy, o których tak im często trąbiono w uszy, i wzięcia udziału w uroczystości dla nich urządzonej specjalnie“.

Nie w tem więc jest znaczenie bankietu merów, ale w tem — jak można było porządnie, a nawet wytwornie, nakarmić i napić taką gromadę 13.000 ludzi, obdarzonych apetytem, który właśnie kryje się tylko jeszcze po wsiach. Otóż ta część programu pokazuje się, że była wykonana *nec plus ultra*. Ale na opis tej uczty potrzebowałbym całej rozciągłości mojej korespondencyi, a tu już jestem na końcu. Proszę sobie wystawić 13.000 osób usłużonych jak jeden, od zupy, do desseru, dziesięciu daniami! A wino, i to najlepsze,—kawa i likwory! Zupełnie jak w *Tysiaku nocy i jednej*—o tem niech czuły słuchacz w duszy swej dośpiewa. A mowy? Było czego posłuchać. P. Carnot w dość obszernym przemówieniu miał zwrot arcy polityczny i szczęśliwy, którego nie mogę pominąć milczeniem: „Wszystkim elektom gmin francuzkich, nieobecny jak i obecny, pierwszy urzędnik (*magistrat*) kraju, strażnik jego konstytucyi i jego praw, zasła serdeczne pozdrowienie od Francyi Republikańskiej“.

We Wtorek d. 27 Sierpnia w Pałacu Trocadero otwarto kongres straży ogniowej międzynarodowej w obecności prezydenta; nie mówiłbym o nim wyłącznie, gdyby w liczbie tych 800 oficerów i podoficerów strażowych nie znalazło się sześć strażaczek angielskich.

Dnia 29 b. m. na polu wyścigów konnych w Vincennes odbył się przegląd i popis wszystkich międzynarodowych brygad straży ogniowej. Popis ten powiódł się wybornie. Okrzyczano i ekłaskano wszystkie narodowości—Anglicy mieli wielkie powodzenie, a w ich liczbie wyróżniono szczególnie młode strażaczki.

Naprzód, ładnie bardzo wyglądają te dziewczęta, z tem zacięciem angielskiem, co wiecie—w granatowych żakietkach, z szerokim pąsowym kolnierzem, w czerwonych czapczkach i w butach z długimi cholewami do kolan. Niektóre dzienniki paryzkie pozwoliły sobie żartów nie w miejscu.

Oto, w jakich warunkach w Anglii urządzono straż ogniową żeńską. W Londynie często bardzo zdarzają się pożary w magazynach mód szczególnie. Jakkolwiek straż ogniowa angielska jest bardzo czynna i rzutna — przecież, razu jednego, w takim magazynie znaleziono 18 osób uduszonych wśród ognia — mężczyza i kobiet; ztąd powstała myśl urządzenia wśród przysługi takich magazynów sekcyi ratunkowej z obojej płci, oswajonych ze służbą i działających przed przybyciem właściwej straży ogniowej.

Ci to pomocnicy straży wprawiają w czynność chemiczne przyrządy gaszenia ognia i w sposób logiczny dają pierwszy ratunek.

Z chwilą, gdy straż miejska przybędzie na miejsce pożaru, ci pomocnicy schodzą na drugi plan działania i stają się poprostu, co się tu zowie: *Les ambulanciers*. Ztąd też i ich miano: *The Life Saving Brigade* i Krzyż Genewski, który noszą na czapczkach.

## Kronika działalności kobiecej.

— Księżna Marya Światopelek Czetwertyńska została zaproszoną na główną opiekunkę zakładu 3-tej Marty, na miejsce opróżnione przez śmierć hr. Hortensyi Małachowskiej.

— Filantropka, której całkowite nazwisko nie doszło do wiadomości publicznej: pani M. z War-

szawy, uczyniła zapis testamentowy, na mocy którego dom posiadany przez nią oddany zostanie po jej zgonie na mieszkanie dla wdów ubogich, dziećmi obarczonych. Mieszkanki wnosić będą opłatę taką tylko, ile potrzeba na utrzymanie domu i podatki.

— W oddziale kobiecym więzienia Warszawskiego przy ulicy Złotej, urządzona jest zwalnia, fabryka pończoch i rękawiczek nicianych, które potem sprzedają się hurtownie.

— Hr. Rzewuska ofiarowała miastu kapitał na założenie przytułku dla rekonwalescentów, wychodzących ze szpitala, lecz potrzebujących jeszcze przez czas jakiś zdrowego, pożywnego pokarmu i odpoczynku, oile można, wygodnego. Warszawska Rada Miejska dobroczynności publicznej zamierza utworzyć przytułek taki w gmachu Dzieciątka Jezus, z terminem dziesięciodniowego przebywania w nim wychodzących ze szpitala. Przytułek będzie przecież płatny.

— Zapis p. Pauliny Bauman w sumie 40.000 rs. na cel budowy domu dla warsztatów rzemieślniczych żydowskich, został zatwierdzony przez władzę miejską. Odrzucono przecież żądanie, aby budynek nosił nazwę imienia ofiarodawczyni.

— Do szkoły pszczolniczo-ogrodniczej na Koszykach, prowadzonej, jak dawniej, przez pana Kazimierza Lewickiego, zapisało się uczennic kilkanaście. Zaprowadzony porządek jest: Od godziny 8-jej do 11-jej rano zajęcia praktyczne w warsztatach i ogrodach; od 11-jej do 1-jej po południu wykłady z potrzebnymi demonstracyami przy ulach i roślinach; od godziny 3-jej do 6-jej po południu odpowiednie do poru roku zajęcia praktyczne i repetycje wykładów. Z chwilą nastania przymrozków otwarty będzie dla dogodności uczących się salon do wykładów w środku miasta, i tam też pensjonat dla uczennic przybywających z prowincyi.

— W Październiku otwiera p. Jan Kryński szkołę rzeźbiarstwa z oddziałem dla kobiet.

— Współwłaścicielka Solca, p. Walichnowska, dobroczynnie przyłożyła się do kuracyi dzieci słabowitych, wysłanych na kolonie letnie przez Radomskie Towarzystwo Dobro, do kąpieli w Solcu. Ofiarowała im pomieszkanie bezpłatne, przytem koszta kuracyi czworga dzieci wzięła na siebie. Kolonia składała się z 24 dzieci.

— Zamieszkała w Łodzi młodzianka panna, córka emeryta X, spełnia dzieło miłosiernego zająć się dziećmi, chorymi i sędziwymi ludźmi w dzielnicy, którą zamieszkuje. Przynosi im lekarstwa i pożywienie, odpowiednie ich stanowi zdrowia, a którego i inaczej mieć-by nie mogli, i którego nawet przyrzadzić-by sobie nie umieli, otrzymawszy z dobroczynnej ręki środki po temu. Dalej, posiadłszy już zaufanie ubogich rodzin, służy im radami, wskazówkami co do kierunku postępowania z dziećmi i chorymi. *Gazeta Łódzka*, podnosząc te szlachetne czyny, spełniane bez rozgłosu, nazwała zacne, poczciwego serca dziewczę, *tajemniczą opiekunką niemocy sędziwego wieku i dzieciństwa*.

— Dzielnica Łodzi, nosząca nazwę *Starego Miasta*, zamieszkała jest licznie przez szwaczki, które z dostarczanego im przez przedsiębiorców materiału szyją bieliznę. Przy starannej całodziennej pracy szwaczka taka zarabia co najwyżej od 2-ch do 5-ciu zł. Do 10 sklepów przy ulicy Nowomiejskiej szyje na taki obstalunek 80 szwaczek.

— Wdowa po szewcu w Łodzi, utrzymawszy po nim warsztat, nie tylko że postanowiła prowadzić go na własną rękę osobiście, ale zapragnęła, aby był obsługiwany całkowicie przez kobiety. Córkę wysłała do Warszawy w celu, aby się tam wyczyła rzemiosła, i obecnie dała jej w zakładzie swoim miejsce starszego czeladnika, a do terminu przyjmuje wyłącznie dziewczęta, których roboty dozoruje starannie. Że przecież robota męzkiego obuwia przechodziłaby siły robotnic, wyrabia się tam przeważnie kobiece i dziecinne.

— P. Wacława Marya Stecka otworzyła w Lublinie tak zwany *Ogródek Freblowski*: rodzaj ochronki dla dzieci klas wyższych, w wieku od lat 3-ch do 7-miu. Opłata, wnoszona miesięcznie, jest od jednego dziecka rs. 3, od dwojga z jednej rodziny rs. 5, od trojga 6. Dzieci w miesiącach

letnich przepędzają cały czas przebywania w ochronce na świeżem powietrzu i są zajęte pożytecznie pod kierunkiem osoby pedagogicznie uzdolnionej do zajęcia się nimi. Jest to zatem instytucja bardzo pożyteczna, ale dla dzieci, których matki są zajęte poza domem. Inaczej matka może i powinna zajmować się sama czuwaniem nad tak małymi dziećmi: ich pierwszą nauką, rozświecaniem ich umysłu. Ale błogosławić trzeba takie wychowawcze zakłady dla małych dzieci, jeżeli zastąpią nam one owe bony Niemkę, lub Francuzki, które sprowadzamy tysiącami, aby nam wychowywały dzieci nasze. Zakład p. Steckiej zyskał sobie uznanie mieszkańców Lublina.

— P. Zofia Roszkowska otworzyła w Radomiu podobny zakład pożytecznych zajęć dla małych dzieci i podobnie wywiązuje się ze swego zadania tak, że opinia osób sądzić mogących jest zyczliwie względem niej usposobiona.

— W Piotrkowie jedna z mieszkanek tamtejszych założyła sklep spożywczy pod godłem patronki dobrych gospodyń: *Marta*. Przedsiębiorstwa tego rodzaju powinny być w rękach kobiet naszych; trzeba tylko, aby stanęła tu do pomocy obok towaroznawstwa w danym zakresie i znajomość handlowej strony rzeczy: dobrze prowadzony i nigdy nie zaniedbany rachunek.

— We wsi Kluczkowicach, w powiecie nowoaleksandryjskim, żona właściciela wsi, p. Władysława Kleniewska, założyła w Lipcu roku zeszłego sklep z towarami kolonialnymi i norymberszczyzną, wkładając w to przedsiębiorstwo rubli 700. Otóż sklep ten, nietylko że nie upadł i przetrwał próbę czasu, zwykle ciężką dla rzeczy będących nowością, ale rozwinął się bardzo pomysłnie, bo pozyskał sobie klientelę wśród mieszkańców wiosek okolicznych i targuje się w nim od 15 do 25-ciu rs. dziennie, a jest to wiadomość bardzo pocieszająca, bo życzyć sobie należy, aby w każdej wsi kościelnej znajdowały się sklepy takie, co nietylko przeciwstawi się dotychczasowemu wyzyskiwaniu wieśniaków przez handlarzy małomiasteczkowych, ale wpłynie korzystnie na zmniejszenie się pijaństwa, do którego przyucza lud wiejski częste przebywanie w miasteczku. Najzamożniejszy gospodarz szuka jedynie w karczmie, lub, co gorzej, w szynku miejskim, posiłku i odpoczynku po drodze, zostawiając tam nierzadko połowę posiadanego grosza. I nie ten jeden wzgląd moralny łączy się z życzeniem rozpowszechnienia się sklepów miejskich: jestto pożyteczna gałąź pracy dla mieszkanek wsi.

— Przy szpitalu Dzieciątka Jezus ustanowiona jest szkoła wyłącznie dla wiejskich lekarek chorób kobiecych, po wsiach zwanych pospolicie *babkami*. Przyjmują się tu jedynie włościanki; wykłady dzielą się na trzy kursa, z których każdy trwa 4-y miesiąc: od 1-go Października do 31-go Stycznia; od 1-go Lutego do 31-go maja; od 1-go Czerwca do 30-go Września. Szpital utrzymuje na swoim koszcie 6 uczennic z każdego kursu, gminy mogą przysyłać kandydatki, zapewniając im przeciw utrzymaniu. Kandydatki powinny mieć niemniej niż 25, a nie więcej niż 50 lat wieku, posiadać dobry wzrok i słuch, być moralnego prowadzenia. Ukończywszy kursa na koszcie gminy lub szpitala, obowiązane są praktykować we wsi, której są mieszkankami, przynajmniej lat trzy.

— Na wileńskiej wystawie rolniczo-przemysłowej medal złoty otrzymała p. Bielozińska za konfitury i konserwy; medale srebrne małe: p. Jadwiga Zanowa za trzodę chlewną, Emilia Brochocka za sery, Zofia Sielankowa za drób, Kuksiewiczowa za wyroby wełniane medale; brązowe: p.p. Endrygiewiczowa za miód do picia, Morzycka za drób, Stefania Jamontowa za owoce, Jadwiga Zanowa za pojedynczy trzody chlewny;

listy pochwalne: p. p. Ruszczykowa za drób, Szylińska za sery, Jad. Zanowa i Izabella Wyreżyna za nasienie zboża.

— Hodowla drobiu jest zawsze zyskowną, a pod względem zbytu najpewniejszą gałęzią wiejskiego gospodarstwa kobiecego, i gospodynie, zwłaszcza produkujące na wywóz zagraniczny, przykładają się nietylko do dobrobytu rodzin, ale i kraju, który drugostronnie uboży się ciągle przez dowożony towar zagraniczny. Z końcem Sierpnia rozpoczynają się zwykle zakupy gęsi do Prus; w d. 25 tego miesiąca przepędzono tam przez Ślezin 3.000 sztuk tego drobiu, że zaś płacono za nie od rubla do półosma złotego, stado owo przedstawiało kapitał około 3.500 rs. Gdyby przecież starano się zaprowadzić hodowlę gatunków poprawniejszych, zysk podniósłby się znacznie i ciągnąć-by go było można nietylko z hodowania gęsi. Za kurę na wywóz płacono w połowie bieżącego miesiąca nad granicą pruską od pół rubla, do czterech złotych; za kaczęta dawano pół tej ceny, za kaczkę starą od czterech do pięciu zł., za młodą od dwóch do półtrzecia. Pokup na jaja jest także zawsze pewnym i nigdy nie zawodzącym, byle tylko były świeże i nie małe. Z prowincyi wschodnich jaja nasze wywożone są morzem, przeważnie do Lubeki, zkąd idą do Anglii, do Saxonii, do Prowincyi Nadreńskich, a w roku bieżącym wielkie transporta jaja skierowały się do Francyi — do Paryża. Aby przeciw handel nasz drobiem i jajami przynosił odpowiednie zyski, powinien być uregulowany; powinien posługiwać się agentami innymi, niż obecnie, a obok tego powinno się koniecznie, i to nie odwołując, aby ktoś inny nas nie ubiegł, zaprowadzić hodowlę drobiu w gatunkach doskonałych. Do Rygi, zkąd je wywożą morzem, jaja przychodzą aż z okolic kazańskich i dalszych.

Założenie u nas kolonii rozplodowej dla hodowli drobiu byłoby rzeczą wielce pożądaną i sądzić można, że jaja od drobiu gatunków udoskonalonych

nabywanoby chętnie według cen odpowiednich. Jak obecnie p. Izabella Ryxowa z Prazmowa (powiat grójecki) zapewne udzielać-by ich chciała zgłaszającym się o nie; tak przypuszczać należy, bacząc, że było-by w tem coś zasługi obywatelskiej. Produkcyjne gospodarstwo drobiem może mieć dla naszych wsi znaczenie poważne.

— Książę Alexander Lubomirski, którego imię zapisane już jest w rocznikach dobroczynności naszej przez założenie w Krakowie kosztem dwóch milionów franków Schronienia dla chłopców moralnie zaniedbanych, złożył obecnie w ręce Księcia Biskupa Krakowskiego milion franków na podobną instytucję dla dziewcząt. Na własność przeszłego zakładu nabyto już we wsi Łągiewnikach pod Krakowem 28 morgów gruntu, a budowniczy Zaremba, mający kierować wzniesieniem potrzebnych tu budynków, już się zajął czynnie wykonaniem nakreślonych planów. Zakład ma być otwarty w roku przyszłym.

## OD WYDAWCY.

„Bluszcz” w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkuszy 12-ty powieści pod tytułem **O Własnej Mocy** przez J... B... Ed...

Za rs. 28 w Warszawie a rs. 33 z przesyłką pocztą

## Kompletny Zbiór 78 TOMÓW

29 POWIEŚCI HISTORYCZNYCH

JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO

przedstawiających w formie powieściowej

Dzieje od IX do połowy XVIII wieku

Stara baśń, 3 tomy.  
Lubonie, 2 tomy.  
Bracia zmartwychwstańcy, 3 tomy,  
Masław, 2 tomy.  
Boleszczyce, 2 tomy.  
Historja o Petruku Właście, 2 tomy.  
Stach z Konar, 4 tomy.  
Waligóra, 3 tomy.  
Syn Jazdona, 3 tomy.  
Pogrobek, 2 tomy.  
Kraków za Łoktka, 2 tomy.  
Jelita, 2 tomy.  
Król chłopów, 4 tomy.  
Biały książę, 3 tomy.

Semko, 3 tomy.  
Matka królów, 2 tomy.  
Strzemińczyk, 2 tomy.  
Jaszko Orfan, 4 tomy.  
Dwie królowe, 3 tomy.  
Infantka, 3 tomy.  
Banita, 3 tomy.  
Bajbuza, 3 tomy.  
Na królewskim dworze, 3 tomy.  
Boży gniew, 3 tomy.  
Piaś (Michał Korybut), 2 tomy.  
Notatki Polanowskiago, 2 tomy.  
Za Sasów, 2 tomy.  
Saskie ostatki, 2 tomy.

Nabyć można w Księgarni Wydawcy M. Glücksberga przy ulicy Królewskiej Nr. 5, oraz we wszystkich księgarniach.

**TREŚĆ:** Pogawędka. — Sąsiedzi, obrazek współczesny, napisała Zbigniewa Zmorska. — Wszystko opuszcza, (wiersz) przez M. I. — List z Rzymu. — Nowiny Paryzkie. — Kronika działalności kobiecej.

**Dodatek obejmuje:** Arkuszy 12-ty powieści pod tytułem: **O własnej mocy**, przez J... B... Ed... — Przegląd mód. — 25 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekretar gospodarские. — Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава 13 Сентября 1889 года.